POLAK
W BRAZYLJI
Pismo tygodniowe — dla wszystkich —

12 Listopada 1909 r. REDAKTOR I WYDAWCA *KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI.* *Rok V Nr 46*

POLAK W BRAZYLJI

kosztuje:

Rocznie.	8 milr.
Półroczni	4 milr.
W Królestwie Polskim i Rosji	7 rubli
W Niemczech	14 marek
W Austrji	16 koron
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary.

Numer pojedyńczy kosztuje 200 rs.
Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub eg o miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI"
Caixa postal Nr. 122
CURITYBA — PARANA — BRAZIL.

UWAGA. — Przesyłki pieniężne i wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej, — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne sprowadzić może niepożądane opóźnienia w odbiorze listów. —

PRENUMERATĘ „POLAKA W BRAZYLJI" przyjmują na warunkach redakcyjnych p. p.
Bolesław Kłossowski — Ponta Grossa.
Antoni Jakubowski — Agua Branca.
Józef Dytz — Ijuhy.
Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena.
Paweł Miecznikowski — Rio Claro.
Józef Brudziński — Rio dos Patos.
Jan Zwierzykowski — Sw. Barbara.
Wincenty Hamerski — Guarany.
Władysław Szulczewski — S. Feliciano.
Antoni Kurkiewicz — Rio Negro.
Edward Stelczyk — Porto Alegre.
Michał Sekuła — Araucaria.

Redakcja mieści się
przy placu TIRADENTES Nr. 31
TELEFON N. 167
Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku z wyjątkiem niedzieli.

Zaprószenie do przedpłaty
„Polaka w Brazylji"
NA ROK 1910

„POLAK W BRAZYLJI" jest pismem niezależnym, które od początku swego założenia stało i stać będzie na straży interesów polskich kolonji, polskiego przemysłu i handlu w Brazylji.

„POLAK W BRAZYLJI" umieszcza stale ciekawe opowiadania z życia ludzi na całym świecie, wiadomości polityczne, gospodarskie i handlowe.

„POLAK W BRAZYLJI" zamieszcza stale wiadomości z kolonji, korespondencje, listy czytelników i t. p.

„POLAK W BRAZYLJI" w roku 1910 wychodzić będzie w tym samym formacie, i w tym samym rozmiarze co i dotychczas.

„POLAK W BRAZYLJI" w roku 1910 drukować będzie nadzwyczaj ciekawą powieść Artura Gruszeckiego „Na Wulkanie" na tle ostatnich zamieszek rewolucyjnych w Królestwie Polskim

Wszyscy prenumeratorzy „Polaka w Brazylji", którzy opłacą przed 1 Lutym 1910 roku całoroczną prenumeratę, otrzymają jako

Bezpłatne premjum

książkę p. t. „PAŃSTWO INTERESU" (w oprawie) napisaną przez znanego bogacza i filantropa ameryakńskiego Carnegiego. Książka ta zawiera mnóstwo cennych uwag i przykładów, w jaki sposób dojść można do majątku i poważania u ludzi, daje mnóstwo cennych rad, jak się urządzić i zachowywać w życiu.

Wszyscy prenumeratorzy „Polaka w Brazylji", którzy opłacą całoroczną prenumeratę przed 1 Lutym 1910 roku, prócz powyższego bezpłatnego premjum, będą uczestniczyć w

Loterji
„POLAKA W BRAZYLJI"

Do rozegrania posiadamy dziesięć następujących przedmiotów:

1) Praktyczną i użyteczną w naszych gospodarstwach maszynę do tępienia mrówek z zapasem trującego proszku dla wytępienia conajmniej 20 mrowisk, choćby największych.

2) Doskonałą maszynę do szycia najnowszego systemu Singera.

3) Maszynę do łuszczenia kukurydzy z wialnią

4) Kolorowy portret Kościuszki dużego formatu, 5) Portret Mickiewicza, 6) Portret Słowackiego, 7) Obraz: Bitwa pod Racławicami (Kościuszko prowadzi do ataku) 8) Obraz: Bitwa pod Racławicami (Bartosz Głowacki zdobywa baterję rosyjską), 9) Obraz: Zdobycie Wolmaru 10) Kolorowy herb Polski na kartonie.

Loterja powyższa rozegraną będzie w lokalu redakcji „Polaka" przy udziale wszystkich życzących sobie być obecnymi przy tym prenumeratorów „Polaka" dnia 1 Lutego 1910 roku.

Uczestniczyć w loterji mogą tylko ci prenumeratorzy, którzy zapłacą osobiście, lub przyszlą prenumeratę, lub złożą ją u naszych ajentów zawczasu, tak, żeby wiadomość o tym nadejść mogła przed 1 Lutym. Wszyscy prenumeratorzy opłacający prenumeratę później, lub których prenumerata nadejdzie po 1 Lutym do Kurytyby, nie mają prawa uczestniczyć w loterji.

Każdy prenumerator, który już opłacił prenumeratę za rok 1910 lub opłaci ją przed 1 Lutego 1910 r., otrzyma numer porządkowy przy swoim nazwisku w dziale „Od administracji", numery te będą służyły dla rozegrania loterji. Przy ciągnieniu loterji numery wygrywają w porządku, w jakim są wydrukowane przedmioty powyżej.

Prenumeratorzy „Polaka w Brazylji", opłacając z góry całoroczną prenumeratę, otrzymują więc nietyko ciekawą książkę „Państwo interesu", ale i możność wygrania jednego z wymienionych wyżej przedmiotów, które zostaną natychmiast wysłane na koszt redakcji wygrywającym, nazwiska i adres których będą w najbliższym numerze ogłoszone.

Maciek w powstaniu.

Opowieść na tle powstania w r. 1863

PRZEZ

SEWERA (GRYFFA).

C. d.

— Maciek! mówili, żeś drapnął do chałupy i śmiali się okrutnie.

— Niech się śmieją, a kiedym się raz ofiarował prać moskala, to go w chałupie nie będę szukał. Butym se smarował, a potem kozaki mnie zatrzymali.

Dowódca przyskoczył do Maćka.

— Gdzie? ilu ich było? co mówili?

Na tym gościńcu, było ich ośmiu, polecieli do Szydłowca. A teraz pytam się, gdzie mam kosę wbić w ziemię i melduje się, bo radbym pójść pożegnać się z babą.

— Idź, ale gdy zatrąbią, wracaj spać, bo jutro przed świtaniem w pochód.

Bartek pokazał mu miejsce na kosę: Maciek wbił ją do szeregu w ziemię i kopnął się do baby.

— Kaśka! a teraz chodź, poweselimy się.

Wziął babę za rękę i oboje niecierpliwi, aby im muzyka nie uciekła, polecieli.

Basy dudniły, skrzypce cięły od ucha prędkiego. Pchnięte drzwi rozwarły się szeroko, para buchnęła. Przestąpili próg. Maciek pochwycił babę swą w pół, przecisnął się do środka w nim w lewo jak wrzeciono, przytupując dla ochoty okręcał się w takt skocznej muzyki. Gdy tylko upatrzył miejsce, wsunął się w koło i tańczył za drugimi; śpiewał, wykrzykiwał, rzucając do skrzypiec muzykantom dziesiątkę po dziesiątce... Rozmarzona tańcem młoda baba szepnęła mu:

Gdyby mi cię Moskale zabrali, toby mi chyba z żalu serce pękło na dwoje.

Maciek przycisnął ją z całych sił.

— Nie bój się, mamci rozum i okrutne szczęście. Byle ino karabin! Hej hu, ha, dana moja dana, Kasieńko kochana.

Po skończonym tańcu wpadli w tłum chłopstwa i rozochoconych bab, wszyscy znajomi: kumy, przyjaciele wszyscy z Mirca i jego okolic i wszyscy z pierwszego bataljonu kosynierów.

— Żołnierka nie jest ci tak zła — odezwał się Maciek, nakładając fajeczkę.

— Z babami przy muzyce, wódce i w ciepłej izbie — odpowiedział mu kum.

— Ej, albo to i na wojnie niema muzyki?

— Ino od niej ludzie padają — dodał kum.

— Śmierć — zawołał Maciek —, jeśli ma zabrać, to ci znajdzie i u baby pod pierzyną. Weselmy się póki można. Muzyka! mojego!

Stanął przed skrzypcami i zagwizdał, że aż sama dusza w ciele zaskakała. Pochwycił Kaśkę i sunął pierwszą parę.

Taniec szedł, wódka się lała, ochota rosła.

Zatrąbiono. Na rynku rozległy się bębny, do karczmy wszedł patrol, podoficer przyświecał latarką.

— Chłopy spać do koszar na słomę, baby do mieszczanek na noc. Światła gasić!...

Za drugimi wyszedł Maciek, trzymając Kaśkę za rękę. Nie rad był się z nią rozstać, oglądał się, rozpatrywał, Kaśka się śmiała.

— A nie mówiłam ci, że nic z tego nie będzie!

Maciek zły, rozglądał się wciąż.

— Maćkowa chodźcie z nami — zawołała kuma.

— Daj pyska i już! odezwała się Kaśka — jutro rano znajdę cię przecie.

Maciek objął żonę w pół i serdecznie przytulił.

— Kaśka pamiętaj o przewdzianiu i choćbym był w Radomiu, przychodź.

— Jutro się jeszcze ugadamy — zawołała goniąc kumę.

Rozeszli się, rynek opustoszał, światła pogaszono, zapanowała cisza; Maciek legł w szeregu w suszarni wielkiego browaru na słomie i zasnął. Śniła mu się Kaśka, zagroda, dobytek i Moskal... Mocował się z nim wyrywając karabin.

Noc panowała, wyiskrzone gwiazdy świeciły, księżyc leciał ku wschodowi i kąpał się w mgłach, rozwieszając delikatne tęcze na przeźroczystych oparach i białym śniegu. W suszarni starego browaru leżał cały bataljon na rozesłanej słomie, chłop obok chłopa. Baranice popodkładali pod głowy, buty w nogach, a miarowe chrapanie mówiło o twardym śnie, zdrowiu i sile płuc.

Na dziedzińcu gotowano w kotłach kaszę jęczmienną, w osobnym miedzianku topiąca się słonina skwierczała głośno, posyłając przyjemne wrażenia, łakomym na omastę żołądkom.

Gdy ugotowaną kaszę odstawiono i okraszono słonina, dowódzca kazał wrzucić na nią kawał lodu i mieszać, aby rychło ostygła.

Spojrzał na zegarek.

— Już trzecia!...

— Już trzecia!.... czwarta!.. piąta... o piątej podczas najtwardszego snu, przesuną się obok Szydłowca, a na trzecią po południu spotykamy się z nimi. Gotowe wszystko? — zapytał służbowego oficera.

— Gotowe!...

— Zakładać do wozów konie, kaszę rozlewać do cebrzyków i misek, cicho, sza! Nie wolno alarmować miasta. Baby mogłyby się zbudzić i dopieroz to narobiłyby lamentu, harmideru, płaczu. Wymkniemy się cicho i śladu za sobą nie zostawimy.

Wpadł do suszarni, klasnął w dłonie.

— Chłopcy! — huknął z całych sił.

Nikt się nie zbudził.

— Moskale! — zawołał.

Cisza.

Zamknął drzwi, wyjął rewolwer i strzelił. Chłopcy jak jeden zerwali się na nogi, oprzytomnieli odrazu, szukając broni.

— Do szeregu — zakomenderował — równaj się.

Chłop polski, urodzony żołnierz, zrozumiał komendę.

Stanęli, wyprostowali się. D. c. n.

SŁOWEŃCY I ICH PRACA NAD SWYM ODRODZENIEM

(Podług W. J. Kosmowskiej)

Słowiańskie narody, czując, że im grozi wielkie niebezpieczeństwo ze strony potęgi niemieckiej, w ostatnich paru latach zaczęły się przejmować ideją zjednoczenia.

Nie mogąc połączyć się na razie pod względem politycznym, starają się przynajmniej zbliżyć kulturalnie i wzajemnie się poznać.

Do niedawna zaczęły się one wspólnie odwiedzać, a przyglądając się jedni życiu drugich i badając warunki i czynniki rozwoju urządzeń gospodarczych i instytucji społecznych, uczą się wzajemnie, a nawet zaczynają nawiązywać pomiędzy sobą stosunki handlowe. Rolnicy i kupcy polscy już nie w pojedynkę, lecz całymi gromadami kilkakrotnie zwiedzili Czechy, a poznawszy u wspomnianych pobratymców wiele wzorowych urządzeń społecznych, starają się coś podobnego zaprowadzić u siebie. Ucisk polaków pod prusakiem, a w odpowiedzi na to bojkot towarów niemieckich w Królestwie i Galicji, mimowoli przyczynił się do nawiązania ścisłych stosunków handlowych między czechami i polakami, tymi dwoma najkulturalniejszymi słowiańskimi narodami.

Ostatnimi czasy i Czesi w liczbie około 200 osób zawitali do Polski, jako goście. Zwiedzili oni wystawę w Częstochowie, starożytne zabytki polskie w Wilanowie i wiele naszych instytucji oświatowo-kulturalnych w Warszawie.

Wszędzie przyjmowano ich tak serdecznie, tak hojnie i z takim uniesieniem, że niejeden monarcha pozazdrościł by im takiego przyjęcia, a wrogów naszych i całej Słowiańszczyzny napewno męczy zmora, która z czasem położy kres ich bezprawiom.

O Czechach czytelnicy „Polaka" dowiedzieli się już z łamów jego, a niektórzy może nawet obszerniej z książeczki: „O Czechach, ich kraju i życiu", napisanej przez naszą literatkę Antoszkę.

Kto choćby z książek i gazet dowiedział się o Czechach, ten wie, że jest to naród silny, bogaty i w dodatku nader dobrze zorganizowany, a do tego doszedł w ciągu 30 lat, od czasu, kiedy otrzymał wolność.

Czesi pod wielu względami mogą służyć narodom słowiańskim za wzór, ale i od słoweńców, nielicznego ludu południowej słowiańszczyzny, z którym dzisiaj pragnę zapoznać czytelników „Polaka", możemy również wiele się nauczyć, możemy dużo skorzystać.

Słoweńcy zamieszkują Krainę—prowincję państwa austryjackiego. Kraina jest jednym z najpiękniejszych krajów Europy. Kraj ten posiada klimat nader łagodny, ponieważ od północy i od wschodu graniczy z Alpami, a od południa jest odsłonięty i dotyka Adrjatyku. Roślinność Krainy, dzięki ciepłowilgotnemu klimatowi, nadzwyczaj bujna i w dodatku rozmaita; mieszkańcy jej słoweńcy są nadzwyczaj gościnni. Podróżnego lub gościa przyjmują z całą serdecznością i czem jeno mogą. Pozatem tak ukochali kraj swój, że przekładają go nadewszystko, a tak są przywiązani do ziemi ojczystej, że nie oddaliby jej za żadne skarby. Słoweńcy poniekąd postanowili wyzwolić kraj swój z pod obcych wpływów swą moralną nad obcymi wyższością i silną miłością ojczyzny, to też prostota i czystość ich obyczajów rokują słoweńcom przyszłość. Słoweńcy wraz z łużyckimi Serbami są resztkami licznych słowian nadłabskich. Doświadczając niewoli przez długi okres czasu, dużo się ich wynarodowiło.

Wiele z tego odłamu słowiańskiego zgermanizowano, zmadziaryzowano, zwłoszczono. Nadłabscy słowianie najwięcej ucierpieli od niemców, którzy obchodzili się z nimi okrutnie, ponieważ kupami sprzedawali ich do niewoli, rugowali z ojczystej ziemi, a na ich miejsce obsadzali niemieckich kolonistów i wreszcie tępili; zabijali. Tylko niezmierna żywotność i siła, jaka drzemała w głębi tego narodu uchroniła go od zupełnej zagłady. Pierwszy raz Słoweńcy obudzili się za czasów reformacji ale to na krótko i chyba po to tylko, żeby być jeszcze bardziej prześladowanymi.

Dopiero w roku 1848 w czasie powszechnej wiosny wolności ludów Europy ocknęli się na dobre i już nie dali się pogrzebać, lecz poczęli żyć i z czasem ogarnęli wszystkie dziedziny życia społecznego.

Pomimo to, że Słoweńcom zagrażała zagłada ze strony narodów: niemieckiego i włoskiego, narodów o wysokiej kulturze ale jeszcze większych instynktach zaborczych, to jednak i tak zdołali się wyodrębnić i odrodzić narodowo, a to jedynie przez demokrację.

„Demokracja—ta siła ludu, przez zjednoczenie się do wspólnego celu, wyrobienie i spotęgowanie wszystkich jednostek, przez usilne dążenie, żeby każdy członek społeczeństwa stanowił siłę istotną, — stworzyła ze Słoweńców potęgę nie do zwalczenia".

Początki pracy społecznej pierwszych działaczy słoweńskich były mozolne i nader niewdzięczne. Miasta były zniemczone, szkoła wyższa i średnia również zniemczone, handel i przemysł znajdowały się w rękach obconarodowców, urzędy zapchane przeważnie niemcami. Jedynie tylko szkoła ludowa była słoweńska, w niej uczono dzieci w języku rodzinnym, to też z niej wyszli pierwsi działacze-patrjoci słoweńscy.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pierwsze szeregi inteligencji słoweńskiej stanowili nauczyciele ludowi i oni, a nie kto inny wraz z lepszymi księżmi poczęli pracować nad odrodzeniem swego narodu. Często zdarzało się, że proboszcz i nauczyciel działali ręka w rękę, a szkoła i kościół to były dwie uczelnie. W wielu kościołach proboszcze miewali dla swych parafjan wykłady naukowe, a w godzinach poobiednich tamże wspólnie z parafjanami naradzali się nad zakładaniem spółek, kas Rajffajsena, stowarzyszeń i t. p. instytucji społecznych.

Radzono o tym wszystkim w kościele, bo gdzieindziej na pomieszczenie licznych gromad nie było miejsca. Dzięki solidarnej pracy inteligencji słowiańskiej, w każdej parafji powstały stowarzyszenia, wszędzie znaleźli się ludzie, działający nad odrodzeniem własnego narodu, więc gdy poszczególne ludy, zamieszkujące Austryę, otrzymały samorząd, to Słoweńcy sejm krajowy w Lublanie zapełnili swymi przedstawicielami, a z czasem znaleźli się i w parlamencie w Wiedniu i tam poczęli się domagać swych praw.

Życie społeczne Słoweńców poczęło jednak bić tętnem silnym, gdy na czele ruchu narodowego stanął człowiek silnego ducha i niezłomnego, a szlachetnego charakteru, dr. Krek.

Wytknąwszy sobie wraz z innymi program działania, udał się z nimi w góry i tam, obcując z sobą związali się przysięgą, że będą pracować dla dobra swego narodu.

Hasłem ich było: „Jeden za wszystkich, a wszyscy za jednego" i pomaganie sobie wzajem. Wcielając zasady swe w życie, przedewszystkim, postarali się podnieść seminarjum nauczycielskie do godności wyższej uczelni i obsadzić je najwybitniejszymi swymi profesorami, a kraj cały potrafili tak poruszyć, tak zachęcić ludzi do pracy umysłowej, że od kółek samokształcenia zaroiło się; począł pracować cały naród, to też wkrótce społeczeństwo słoweńskie wydało całe szeregi działaczy, pracujących z ludem i dla ludu.

Księża i nauczyciele nie dążyli do zyskownych posad, lecz osiadali w ubogich wioskach górskich, starając się być prawdziwymi przyjaciółmi ludu. Księża, żeby się nie odróżniać od ludu, ubierali się po świecku i wraz z ludowymi nauczycielami zachęcali gromady do poprawienia sobie doli drogą stowarzyszeń i pobudzali ich do samodzielnego czynu.

D. n.

Z całej Polski

PIERWSZY ZJAZD NAUKOWY W WARSZAWIE. Dnia 11 z. m. odbył się w Warszawie Pierwszy Zjazd neurologów, psychjatrów i psychologów polskich. Brali w nim udział przedstawiciele wspomnianych gałęzi wiedzy, pracujący we wszystkich dzielnicach Polski, oraz uczeni polscy z zagranicy.

W organizacji ruchu naukowego zjazdy uczonych, pracujących w jednej dziedzinie wiedzy, odgrywają dziś doniosłą rolę i zamieniły się niejako w stałą instytucję. Międzynarodowe zjazdy odbywają kolejno swe obrady w różnych krajach, zjazdy zaś krajowe, gromadzące uczonych jednego narodu, wybierają sobie większe ogniska naukowego życia danego kraju, zwykle miasta uniwersyteckie.

Z dzielnic polskich Galicja ma dwa takie ogniska, Kraków i Lwów, gdzie w dwóch uniwersytetach polskich posiada swą organizację polska praca naukowa. W dzielnicy do Prus należącej, największe ognisko, Poznań, pozbawiony jest szkoły wyższej, gromadzi jednak w sobie pewną ilość sił naukowych. W państwie rosyjskiem, po za Wilnem, które jest sporem ogniskiem życia umysłowego polskiego, nasza Warszawa stanowi jedyne wielkie miasto, w któremześrodkowuje się życie umysłowe, w szczególności zaś naukowe. Królestwo, ze swymi dwunastu miljonami mieszkańców, gdyby żyło na stopę umysłową, równą Galicji, mogłoby dać siedzibę przynajmniej trzem uniwersytetom i stworzyć tyleż warsztatów pracy naukowej, tyleż ognisk naukowego ruchu. Niestety, jesteśmy do tego bardzo dalecy. Nawet w Warszawie nie mamy uniwersytetu w znaczeniu organizacji nauki polskiej, bo na uniwersytecie tutejszym nietylko wykłady odbywają się po rosyjsku, ale uczeni polscy nie są dopuszczani do katedry. To też w tym mieście, stojącym w szeregu dziesięciu największych miast Europy, poważny ruch umysłowy, w szczególności zaś naukowy w wielu dziedzinach ostatnimi czasy nie wzrastał ale upadał.

Polskie tedy zjazdy naukowe nie mają wielkiego wyboru siedzib dla siebie. Wybór ten ograniczyły jeszcze przyczyny polityczne. Niedawno policja państwa niemieckiego, głoszącego z pychą, że niesie innym narodom kulturę, nie cofnęła się przed tak barbarzyńskim krokiem, jak zakaz zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu, podejmując tym sposobem walkę z nauką czystą.

Ogół nasz oświecony rozumie doniosłość pracy wspomnianego zjazdu, wiedząc, że ruch naukowy we wszelkich dziedzinach jest niezbędnym składnikiem narodowej kultury.

KRAKÓW. Dn. 12 z. m. o godz. 8 wieczorem rzucono pocisk na wóz kolei elektrycznej, przejeżdżający ulicą Szewską. Pocisk wyrwał część sklepienia wozu i rozbił płaszcz lampki elektrycznej. Szkło i kawałki drzewa obsypały trzy osoby, jadące II kl. Według sprawozdania świadków, jadących wozem i konduktora, huk był bardzo wielki, a biały dym bezwonny zapełnił wóz i ulicę. Według powszechnego zdania pocisk rzucono z piętra domu l. 9 lub 11 ul Szewskiej. Policja obsadziła wymienione domy i zarządziła dochodzenia. Na miejsce przybył dyrektor policji i kilku urzędników policyjnych. Znaleziono resztki tektury grubej i kilka metrów sznurka, którym pocisk był obwiązany. Podobny wypadek zdarzył się w sąsiedniej ulicy Jagiellońskiej; rzucono tam jakiś pocisk, który wybił szyby w kamienicy p. Porzeckiego.

PRZYPADEK CZY ZAMACH ? Z Warszawy donoszą: Gdy pomocnik generał gubernatora generał Uthof wyjechał automobilem na spacer, eksplodował w automobilu rezerwoar benzynowy. Uthof odniósł lekkie rany, towarzysz jego i szofer ciężkie. Oprócz tego jeden z przechodniów zginął na miejscu, a sześciu odniosło rany. Automobil spalił się.

W Warszawie obiega uzasadniona pogłoska, że wybuch na samochodzie gen. Uthoffa nie jest dziełem przypadku, lecz skutkiem zamachu. Gazety warszawskie piszą oczywiście o „wypadku", jednakże sama policja nie bardzo w to wierzy; dowodem rewizja, przeprowadzona w mieszkaniu ofiary wybuchu, Muszyńskiego i badanie rannych.

Oględziny samochodu, dokonane przez znawców, wydały rezultat uzasadniający przypuszczenie, że był to zamach. Mianowicie rezerwoar na benzynę, którego eksplozja miała być przyczyną katastrofy, ma ściany zagięte do wewnątrz, co wskazuje na działanie siły zewnętrznej. Trudno przecież przypuścić, żeby naczynie eksplodujące wgięło się wewnątrz. Spustoszenia, poczynione przez wybuch w okolicznych domach, gdzie powylatywały nawet olbrzymie belgijskie szyby wystawowe, wskazuje też na siłę wybuchu, której trudno się spodziewać po eksplozji rezerwoaru z niewielką ostatecznie ilością benzyny.

POLSKI ZWIĄZEK ZAWODOWY. Pisma niemieckie notują fakt gromadnego występowania robotników polskich w zaborze pruskim z niemieckich Związków zawodowych i zapisywania się do polskiego Związku zawodowego, który dziś już liczy do 60.000 członków i obraca kapitałem około pół miljona marek.

Z KOMISJI KOLONIZACYJNEJ. Komisja kolonizacyjna przeniosła w ostatnich czasach działalność swą na Prusy Zachodnie. Według pism niemieckich komisja zakupiła w Prusach Zachodnich około 1500 morgów. Nazwiska właścicieli nie są znane, nie można więc stwierdzić, czy ziemia ta przeszła z rąk niemieckich czy polskich.

Tydzień polityczny.

Wielką sensację wzbudził w Bulgarji artykuł dziennika „Vecerna Posta", przyznający całkiem otwarcie, że prawdziwymi są powtarzające się od pewnego czasu wieści, że wśród młodszych oficerów istnieje tajne stowarzyszenie. Oficerowie ci są malkontentami głównie z powodu protekcji udzielonej przez ministra wojny Nikołajewa grupie oficerów, kształconych w Rosji, którzy niedawno stamtąd wrócili. Niezadowolenie przybrało w ostatnim czasie takie rozmiary, że powstała tajna organizacja, mająca na celu przeprowadzenie w armji potrzebnych reform i poprawę stosunków służbowych oficerów, dotkniętych usuwaniem ich na drugi plan. Minister Nikołajew nie chciał nawet wysłuchać przedstawionych mu żądań młodszych oficerów.

„Vecerna Posta" pisze: „Żyjemy na Bałkanie. Niedaleko od nas dokonali tureccy oficerowie przewrotu, a w ostatnim czasie pokusili się i greccy oficerowie o to, żeby siłą przeprowadzić odrodzenie swego kraju; a i oni mieli szczególne powody do niezadowolenia, jako oficerowie O ile wiadomo, ostatnia podróż ministra wojny po kraju pozostaje też w związku ze sprawą oficerską".

Artykuł kończy się wyrażeniem życzenia żeby minister Nikołajew podał się do dymisji jak najwcześniej, póki nie będzie za późno.

W Bulgarji przypuszczają, że za tą całą sprawą ukrywa się były minister wojny Sawow, zamieszkały obecnie w Paryżu.

Z Francji nadchodzi wiadomość, że tamtejsze władze wojskowe postanowiły wzmocnić znacznie posterunki nad granicą niemiecką, aby ubezpieczyć lepiej przejścia górskie na wypadek wojny. W tym celu w rozmaitych małych miejscowościach oddalonych około 15 kilometrów od granicy, będą umieszczone po 2 do 3 baterji artylerji i po 4 do 5 kompanji piechoty. Na razie otrzymają takie załogi miejscowości Pont a Mousson, Corcieux, St. Dié i Gèrardmer.

Gdy Francja, zaniepokojona ogólnem położeniem politycznym i mnożącymi się wypadkami szpiegostwa niemieckiego, przystępuje do wzmocnienia swej obrony granicznej, Rosja—wbrew umowie z Francją — zmierza konsekwentnie do zmniejszenia swych sił zbrojnych w Królestwie Polskiem.

Wprawdzie porzucono podobno zamiar zniesienia fortec w Królestwie, łączący się z programem utworzenia głównej linji obronnej dopiero poza jego granicami. Ale faktem jest, że Rosja osłabia stopniowo pogotowie wojenne nad granicą niemiecką. Oprócz piątego korpusu armji, przeniesionego w głąb Rosji, rząd rosyjski wycofuje obecnie z Królestwa Polskiego także korpus 18. Część tych wojsk będzie wysłana na Kaukaz, część inna do Syberji, a reszta ma być rozamieszczona w rozmaitych garnizonach w głębi Rosji.

Kronika zagraniczna

ROSJA.

Petersburg. Wobec pewnego uspokojenia, które w ostatnich czasach zapanowało w Tybrysie, rząd rosyjski postanowił odwołać z tego miasta część konstytującego tam oddziału wojsk, a reszta zostanie odwołana, gdy rząd rosyjski nabierze przeświadczenia o trwałości przywróconego tam porządku.

Finlandja. Wskutek zatargu, wynikłego pomiędzy rządem rosyjskim a Finlandją w sprawie 20 miljonów rubli, sejm finlandzki postanowił apelować do opinji publicznej w Europie i wydać odezwę do wszystkich krajów kulturalnych.

ANGLJA.

Tajemnicza przestroga. W Filadelfji konsul angielski opublikował cyrkularz, przestrzegający statki, by do portów angielskich i wogóle do portów należących do państwa brytańskiego zbliżały się tylko wśród największych środków ostrożności. Przyczyny tej przestrogi szukać należy, jak ogólnie przypuszczają w fakcie, że stosunki pomiędzy Anglją, a jednym z mocarstw, posiadających silną flotę muszą być bardzo naprężone. Takie napięte stosunki wymagałyby nadzwyczajnych środków celem rewizji statków przybywających do portów brytańskich.

WYSPA KUBA.

Huragan. Silny huragan nawiedził wyspę Kubę, wyrządzając zwłaszcza na zachodzie znaczne spustoszenia. 5 osób zginęło, 25 poranionych, w samej przystani zatonęło 40 mniejszych okrętów. Nowa lecznica dla suchotników w Arroyo Naranyo zapadła się, wielu chorych odniosło pokaleczenia.

Korespondencje.

Ojciec Herkulano Leinpinzel.

Od kilku dni pojawia się w gazetach wywychodzących w portugalskim, niemieckim i polskim języku wiadomość o uwięzieniu w Florianopolis przewielebnego ojca Herkulano Leinpinzel—byłego gwardjana a następnie prowincjała zakonu Ś. Franciszka w S. Katarinie. Nowina której uwierzyć niepodobna, ten pobożny pan, co zawsze chodził ze spuszczonymi w ziemię oczyma, co tak gorliwie się modlił i tak pięknie śpiewał, a tak bardzo nienawidził złego, siedzi za kratką i to za zgwałcenia dziecka. Z tego powodu zasługuje na to, aby czytelnicy „Polaka" bliżej się z nim zapoznali

Ojczulek Herkulano Leinpinzel przyjechał do Blumenau przed mniej więcej 14 laty i w krótce potem został gwardjanem; na tym stanowisku zapisał się tem, że oddalił od budowy klasztoru wszystkich robotników polaków, wkrótce potem wygonił z klasztoru wszystkie polskie dzieci, które jego poprzednik przyjął, mówiąc przytym że: „klasztor nie może tych polskich świń żywić". On to postarał się o wysłanie do Bahii brata Lipieha za to, że ten ośmielił się mówić po polsku w murach niemieckiego klasztoru. On H. L. obił dwóch polskich chłopców, tak, że ich ojciec nie mógł poznać, za to, że z sobą po polsku rozmawiali, a po obiciu mówił im: „wiesz za coś dostał po polskiej mordzie? oto za polski szwargot." Dużo mógłbym tu takich kwatków przytoczyć jeszcze, ale szkoda czasu i miejsca, to tylko dodam, że prześladował on polskość na każdym kroku i wszystko co nie było niemieckiego pochodzenia, aby przysporzyć niemczyżnie więcej synów, i teraz zapędził się ten pobożny pan aż za kratki.

Przyjaciel

Marechal Mallet dnia 1 Listopada 1909 r.

Szanowna Redakcjo!

Prosimy o łaskawe umieszczenie, w swym piśmie niżej zaznaczonych zapytań, jak również dać swoją opinję.

Uznając prawo mniejszości, postanowiliśmy udać się z prośbą, aby za pośrednictwem pism polskich zostało wyjaśnione przez ludzi bezstronnych co następuje:

1] W jakiej szkole polskie dziecko się więcej nauczy; czy w tej gdzie będzie wykładowy język polski, a język portugalski traktowany jako przedmiot, czy też odwrotnie?

2] Czy polak jako wolny obywatel Brazylji, powinien kształcić swe dzieci w języku ojczystym, czy też przybranej ojczyzny?

3] Czy szkoła polska, w której wykładany jest język portugalski, może ucznia zaznajomić z tym językiem na tyle, aby ten w przyszłości mógł zostać nawet urzędnikiem brazylijskim?

4] Czy jest sens stawiania szkoły za polskie pieniądze, aby językiem wykładowym był w niej język nie polski?

Oczekując łaskawego uwzględnienia, kreślimy się z uszanowaniem

Stefan Bartoszek,
Roman Paul,
Stefan Miecznikowski,
Michał Trojan,
Stefan Rosiński.

....

Pytania jakie pięciu obywateli z Marechal Mallet dało nam do rozstrzygnięcia należą do rzędu najważniejszych jakie wogóle Polak po za granicami swojej Ojczyzny może i powinien sobie postawić. Możemy być tylko wdzięczni podpisanym, że otwarcie postawili kwestję, której rozstrzygnięcie leżeć powinno na sercu każdemu uczciwemu obywatelowi. Stosunek nasz do kraju, gdzie założyliśmy nowe gniazda, skąd środki na wyżywienie rodzin swych czerpiemy, który przyszłym pokoleniom służyć będzie za kolebkę, musi być jasny. Jeśli nie chcemy być pasożytami, musimy poczuwać się do pewnych obowiązków względem niego. Pojęcie tych obowiązków wiele nasuwa wątpliwości, które usunąć należy. Tylko ludzie małego serca i małej wiary mogą unikać jasnego i otwartego postawienia kwestji i cofać się przed jej ujęciem i rozstrzygnięciem. „Polak" nieraz już zabierał głos w tej sprawie i nieraz wracać do niej będzie zmuszony, dziś postaramy się dać, o ile to możliwe jasną i kategoryczną odpowiedź na postawione pytania.

Po pierwsze, nie ma najmniejszej wątpliwości, że polskie dziecko, tylko w polskiej szkole może osiągnąć najwyższy stopień rozwoju i posiądzie największą ilość wiadomości, które łatwiej w ojczystym języku sobie przyswoi. Zasady moralności, których zaszczepienie do pierwszych obowiązków szkoły zaliczyć się winno, jeśli nie mają być martwą literą, jeśli rzeczywiście duszę dziecka przeniknąć mają, powinny być wykładane bezwarunkowo w języku ojczystym. Byłoby nonsensem wykładać polskiemu dziecku język ojczysty w języku obcym, chociażby przybranej ojczyzny.

Po drugie, zmieniając przynależność państwową, nie zmieniamy przynależności rasowej i kulturalnej i byłoby to niemożliwym do zrobienia; językiem ojczystym Brazylji nie jest zresztą jak wiemy język portugalski, jest on językiem panującej większości i urzędowym, który jako taki, cenić i przyswajać musimy.

Francuz w Kanadzie, Holender w Afryce południowej bez ujmy dla honoru, bez szkody dla społeczeństwa, bez niebezpieczeństwa dla państwowości pielęgnuje obok angielskiego, język ojczysty. Jest to gwarancją szczęśliwego spółżycia dwu ras, jest to gwarancją lojalności i patrjotyzmu obywateli. Bezkarnie nie można narodowi wydzierać języka, bezkarnie nie można się go tymbardziej pozbywać, byłoby to z ujmą dla honoru, ze stratą dla kultury, którą pielęgnować i rozwijać winniśmy w interesie wyższym niż interes państwa, które los każe nam zamieszkiwać — w interesie Ludzkości.

Po trzecie, mówiąc o szkołach polskich, myślimy o szkołach początkowych— te nie przygotowują urzędników. Wiadomości językowe dla urzędników niższych, od których nie jest wymagany cenzus naukowy, można posiąść w każdej szkole, a nawet i po za szkołą, jak tego mamy niezliczone przykłady tu w Paranie, gdzie mamy urzędników, np. komisarzy, sędziów niższych i t. p., którzy przybyli tu z Polski, Niemiec, Włoch w dorosłym wieku i szkół tutejszych nie kończyli wcale.

Po czwarte, obowiązkiem państwa jest stawiać i utrzymywać szkoły z językiem wykładowym urzędowym; ponieważ ponosimy wspólnie ze wszystkimi koszta ich utrzymania, mamy prawo domagać się ich tam, gdzie tego uznajemy potrzebę.

Szkoła prywatna, jaką jest szkoła polska, z językiem wykładowym obcym, nie ma racji bytu, znaczyło by to obciążać budżet obywateli polaków niepomiernym wydatkiem na korzyść obywateli tubylców, lub nie polskiego pochodzenia bez najmniejszej korzyści, wręcz na szkodę swoją; przeciwnie, pewne wysiłki w tym kierunku, dobrowolne opodatkowanie się jednej narodowości, na rzecz szkoły może być uprawnionem li tylko pod warunkiem pielęgnowania w takiej szkole narodowej kultury, narodowego języka.

KRONIKA.

RIO DE JANEIRO. W Kongresie jeden z deputowanych podał projekt, aby rząd federalny przeznaczył stałą subwencję dla szkół rolniczych w całym kraju.

Dnia 5. b. m. odbyło się nadzwyczaj burzliwe posiedzenie kongresu, które skończyło się grubą awanturą. Deputowani przezywali siebie ordynarnymi wymysłami. Posiedzenie zostało zawieszone. Powodem do burzliwego zajścia posłużyło roztrząsanie kwestji rozruchów wynikłych podczas wyborów municypalnych dn. 31 z. m. w Rio de Janeiro.

Minister finansów wydał rozporządzenie, na mocy którego zostanie wycofana z obiegu stara moneta niklowa.

Prezydent republiki otrzymuje stale skargi na kompanje kolejowe od róbotników w stanie Bahia.

Obecnie prezydent oświadczył skarżącym ażeby przerwali strejk i powrócili do pracy a rząd postara się ich słusznym żądaniom uczynić zadość.

Banda rabusiów napadła dn 9 b. m. w Rio na kupca niejakiego Cunha Fachada, zabrała znajdującą się przy nim dosyć znaczną kwotę pieniężną. Następnie usiłowała ograbić jeszcze jednego z kupców, w tym celu strzelano do niego z rewolwerów, lecz zwabiona strzałami policja przeszkodziła rabusiom w wykonaniu zbrodni. Obecnie ścigani przez ajentów policyjnych bandyci umknęli do stanu São Paulo.

STREJK. W stanie Bahia na linji kolejowej São Francisco wybuchł strejk robotników. Ruch na wspomnianej linji całkowicie został wstrzymany. Silne oburzenie wśród robotników panuje przeciwko dyrektorowi tej linji inżynierowi Alencar Lima, który zbierał bandę zbrojnych awanturników w celu zmuszenia strejkujących do rozpoczęcia pracy. Minister komunikacji zwrócił się do prezydenta republiki z prośbą o przedsięwzięcie środków ku zapobiegnięciu zaburzeń i przerwania strejku, który fatalnie się odbija na przemyśle krajowym.

SAMOSĄD NAD ZBRODNIARZEM. Dnia 6 b. m. w Rio de Janeiro na placu Largo do Machado znany awanturnik spowodował kłótnię z dorożkarzem i zamordował go. Oburzona publiczność zebrała się tłumnie i zlinczowała mordercę.

SÃO PAULO. Monarchiści w Stanie São Paulo mają zamiar podczas najbliższych wyborów wystawić swoich kandydatów do kongresu stanowego.

T-WO. SZKOŁY LUDOWEJ W BRAZYLJI. Dnia 7 b. m. odbyło się posiedzenie miesięczne zarządu T-wa. Szk. Lud., na którym między innymi przyjęto dar p. Warchałowskiego w postaci 6 hektarów ziemi, jednego wagonu materjału budowlanego, zegarka złotego, i dwóch obrazów w ramach. Stosownie do życzenia ofiarodawcy postanowiono wymienione przedmioty wraz z ziemią puścić w loterję, zysk z której całkowity zostałby obrócony na kupno placu i budowę własnego gmachu T-wa. w Kurytybie. — Bilety na wspomnianą loterję wartości 10$. każdy, mają być wypuszczone w ilości 1000 egz; drukowane zaś będą w dwóch językach polskim i brazylijskim. Dla ułatwienia rozegrania loterji, zainteresowania szerszego ogółu, jak również zapewnienia kontroli i usunięcia jakichkolwiek wątpliwości co do jej wyniku, postanowiono zorganizować odpowiedni komitet, w skład którego weszłyby i jednostki nie należące do T-wa., reprezentujące rozmaite warstwy tutejszego społeczeństwa.

W skład komitetu weszli pp: Dr. Affonço Camargo wice-prezydent stanu, Wiktor Stachoń, Robert Mikoszewski, Kazimierz Warchałowski, José Luz, Maksymiljan Gross, Wojciech Twardowski, Michał Sekuła, Józef Dynarowski, Andrzej Bugalski, Maciej Otto i Juljan Malinowski.

Nazwiska powyższe mogą dać naszemu ogółowi rękojmię, odpowiedniej kontroli zamierzonej loterji i tym samym zapewnienie jej wyniku, a więc i rozpoczęcie w niedalekiej przyszłości budowy gmachu T-wa.

Następnie postanowiono urządzić dn. 13 b. m. popis w szkole na Kampinie. Popis ma się odbyć w obecności członków zarządu Tow. i rodziców uczących się dzieci.

Następnie postanowiono udzielić nauczycielowi na Kampinie, wakacji od dn. 1 Grudnia do 1 Stycznia, przez ten czas wykłady w szkole będą zawieszone.

Przeczytany został list członka Tow. z Kampiny p. T. Morąga, który występuje z zarzutami niedbałego prowadzenia wykładów przez p. M. Sekuły w szkole Kampińskiej i oświadcza w imieniu nieistniejącego „Koła Tow. Szk. Lud". na Kampinie że od nowego roku chce aby wykłady były prowadzone przez innego nauczyciela, którego już ma na widoku.

Wobec tak nietaktownego wystąpienia p. T. Morąga, który zarzuty swe przeciwko p. M. Sekule nie umotywował żadnymi faktami ani dowodami, a co najważniejsze występuje w imieniu nieistniejącej organizacji, polecono sekretarzowi T-wa. zakomunikować p. Morągowi, że wystąpienie jego zarząd ze względu na treść i formę listu uważa za nietaktowne i oświadcza, że ponieważ kierownictwo szkoły podlega wyłącznie zarządowi T-wa., mianowanie i usuwanie nauczycieli również zależy tylko od zarządu, i że p. Michał Sekuła zostaje nadal nauczycielem T-wa. na Kampinie. Posiedzenie zamknięte zostało o godz. 6 wieczorem.

OSTATNIE WIADOMOŚCI.

ARGENTYNA.

Dnia 9 b. m. w jednym z kościołów w Buenos Aires, podczas nabożeństwa anarchista rosyjski rzucił bombę, która na szczęście, chociaż wybuchła, nie zraniła nikogo z obecnych w kościele.

Uwięziony anarchista, przyznał się do winy i oświadczył, że bombę rzucił z nienawiści do kleru.

AUSTRALJA.

Depesze z Melbourne donoszą, że na wyspach Hebrydzkieh miało miejsce silne trzęsienie ziemi. Znaczna ilość zabitych i rannych mieszkańców. Budynki zrównane z ziemią.

Ogłoszenia.

Za dział ten Redakcja nie odpowiada.

NIESZCZĘŚLIWE WYPADKI.

W piśmie „A Noticia", wychodzącym w Rio, spotykamy następującą wzmiankę [17-10].

„Znana fabryka tkacka „Alliança", jedna z największych w Brazylji, znajdująca się pod zarządem p.p. Joaquim Carvallo de Oliveira i Alfredo L. Ferreira Chaves, ubezpieczyła wczoraj wszystkich swoich robotników, w liczbie 2.000, w T-wie ubezpieczeń „CRUZEIRO DO SUL" od nieszczęśliwych wypadków, mogących ich spotkać przy robocie.

Możemy tylko przyklasnąć takiemu postępkowi przemysłowców, zarządzających fabryką; dowodzi to, że naprawdę dbają oni o życie i bezpieczeństwo ludzi, pracujących w ich zakładach. Pozostaje nam tylko wyrazić życzenie, aby postępek ten znalazł jak najwięcej naśladowców, którzy, rozumiejąc co jest naprawdę „postęp", pójdą za tym przykładem altruizmu i solidarności ludzkiej.

Jak słyszeliśmy, 17 większych zakładów przemysłowych w Dystrykcie Federalnym ubezpieczyło pracowników swych w wspomnianym Towarzystwie.

PRZY KUPOWANIU W SKLEPACH TU OGŁOSZONYCH, PROSIMY POWOŁYWAĆ SIĘ NA NASZE PISMO!!

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

WACŁAW GĄSIOROWSKI

ROK 1809

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

15

— Co to za papiery, co za papiery?—pytał nerwowo Zajączek.

Fiszer pięści zacisnął.

— Zdrada, panowie! Plany fortyfikacji!.. Rozpisy wojskowe! Postanowienia sekretne!

Poniatowski poruszył się niespokojnie.

— Generale!... Chyba niepodobna!...

— Wszystko, wszystko jest mości książę!.. Dokumenty wprost z mego biurka odpisane... ostatnie zamysły nasze! Jesteśmy zdradzeni, odkryci w najtajniejszych zamiarach!... Straszne, okropne!...

Fiszer trząsł się dygotał ze wzruszenia. Papiery z rąk mu wypadały. Rada wojenna siedziała osłupiała. Odkrycie uderzyło w nią jak grom. Pan de Sonier kręcił się niespokojnie, a skinąwszy na Bontemps'a, szepłał coś doń z oznakami zaniepokojenia. Fiszer z bezsilną rozpaczą osunął się na fotel, głowę na rękach wsparł i powtarzał smutnie:

— Tyle pracy!... Tyle bezsennych nocy... zabrali wszystko, wykryli!... nie ma tajemnicy... nie ma planów!

— A teraz mości panowie, wątpicież jeszcze? rozległ się dźwięczny głos Dąbrowskiego.

— Nie... nie generale!—odrzekł cicho Poniatowski.

— Za pozwoleniem!—wmięszał się ostro Zajączek.—Dla mnie jest tu dotąd oczywistą rzeczą, że oto stormy wobec szpiegostwa, że to nasze zebranie przyczyniło się do odsłonięcia szelmowskiej roboty... że gdyby nie to wystąpienie nasze, wyobrażenia byśmy nie mieli o tem, co nam grozi.

— Mości Zajączek zdaje się zapominać, że ja wiedziałem.

— Jednak mości Dąbrowski nie uwiadomiłeś nas o tem.

— Do waszmości się nie zwracałem bo byłoby to daremnem! Lecz wie już o tem ten, którego radzie i zacności największej ufałem!... Wie wojewoda Wybicki..

— Pan wojewoda nic nie ma do spraw wojskowych!

— Owszem... boć jego wstawiennictwom niektórzy dowództwo dywizji zawdzięczają!

— Wolę odpowiedź zamilczeć! Nie w tem rzecz! Mości panowie tu śledztwa trzeba, żeby wyświetlić, jaką drogą te papiery doszły rąk Zabielskiego!

— A mnie tu nie śledztwo potrzebne, lecz zaważenie niebezpieczeństwa! Słyszeliście!.. Wojna grozi nam! Do zepewnień imć Zabielskiego dodam tyle od siebie, że moje wiadomości, które mnie doszły już przez pruską granicę, potwierdzają te obawy!...

— Ten drugi punkt można śmiało odłożyć. Ja mam także nowiny, no i zapewniam imć pana Dąbrowskiego, że wojną nie ma się co turbować!

— Mości Zajączek! Mówię do rady!... Wojna się zbliża... Co rada przedsięwziąć zamierza?... A potem... niechże przedtym pamięta, że ja żądać będę zadośćuczynienia. Że mnie się ono należy...

— Należeć się będzie po śledztwie!

— Wojna! — wmieszał się książę, chcąc zatrzeć odezwanie się Zajączka.—Wojna jest możliwą, ale... moim zdaniem będzie czas o niej pomyśleć!

— Oczywiście! Bezwątpienia!—przytwierdzili Hanke z Rożnieckim.

— Dotąd od granicy żadnych niepokojących raportów nie ma!... A pogłosek o wojnie nie brak było i cztery miesiące temu... i pięć i sześć!

— Przewidywać ją trzeba... lecz i ja sądzę, że jeszcze do niej daleko—zauważył Pelletier.

— Zwykły podmuch wiosenny—wtrącił Sokolnicki.

— Ostrożność słuszna, ale zawczesna — ozwał się Przebendowski.

— Więc wojna schodzi z porządku rzeczy, a zostają tylko dowody szpiegostwa.

Dąbrowski szarpnął się, aż mu pałasz zadzwonił i chciał odpowiedzieć, gdy przy drzwiach wchodowych wszczął się rozruch. Straż Osipowskiego wzbraniała wejścia do sali oficerowi.

— Kto to? Co to?—rozległy się głosy.

— Cha imć pan Dąbrowski trzyma nas pod wartą!—szydził Zajączek.

— Dosyć przemocy! dosyć gwałtu!—wołał Różniecki.

— Baterję armat trzeba na drugi raz zatoczyć przed zamkiem!

Dąbrowski skinął na Osipowskiego.

— Co się tam dzieje?

— Pułkownik Mallet... z raportem do księcia!

— Wpuścić!

— Mości panowie!.. Imć pan Dąbrowski raczy! zezwolić!—drwił dalej Zajączek.

— Tego zawiele!—mruczał pan de Sonier, trzaskając coraz gwałtowniej tabakierką.

— Cha... Cha! Wojna naprawdę się zaczyna!—śmiał się któryś z nieprzyjaznych Dąbrowskiemu pułkowników.

Śród wzrastającego zamieszania ukazała się wyniosła postać pułkownika Malleta.

Malet powitał zebranych wojskowym ukłonem i szedł wprost do księcia.

Poniatowski powitał go lekkim skrzywieniem ust.

— Skąd przybywasz?

— Z pod Nowego miasta!

— Aha!... Podjazd!... I cóż?

— Wasza książęca mość! Wojsko austryjackie zbliża się ku granicy!

— Co?... Wojsko?...

— Sześć pułków piechoty, dwa regimenty dragonów i trzy huzarów, postępuje w przedniej straży. Proklamacje wydane! Dowodzi arcyksiążę Ferdynand d'Este... Lada chwila przejdą Pilicę!...

Poniatowski przez chwilę poglądał zdumiony na Malleta, jakby własnym uszom nie wierząc—potym wyprostował się, targnął temblakiem i podniósł głowę.

Członkowie rady szeptali między sobą, silniej jeszcze zaczęli zaznaczać swoje sympatje, wyraźniej opowiadali się stronnikami Dąbrowskiego, mocniej skupiali się około Zajączka. Na prężąca się przed księciem postać pułkownika, nikt nie zwracał uwagi. Zwykły raport służbowy gorliwego francuza.

Poniatowski zadzwonił na uciszenie się — daremnie. Stronnicy Zajączka szemrali coraz głośniej, coraz śmielej.

— Nas wojną straszyć? Lada plotkom dawać może wiarę!

— Precz z wartą! Siłą iść!

Książę Józef zadzwonił po raz drugi, a gdy i to wezwanie nie poskutkowało, porwał się z za stołu, stanął pośród dwóch wrogo ku sobie poglądających partyj i zawołał gromko:

— Mości panowie!... Zważcie na własne mundury! Nie pora na prywaty... Wojna! Wojsko austryackie stoi na granicy... Wzywam was do natychmiastowego powzięcia postanowień.

Cisza grobowa zaległa zebranie po tych słowach. W piersi członków rady jakby zamarły oddechy. Pierwszy odezwał się pan de Sonier.

— Mości książę! — rzekł cicho. — Czy dobrze słyszałem?! Są wiadomości?.. Może z Paryża? Duc Bassano w ostatnim liście.. zapewniał, że choć z Wiedniem stosunki są najlepsze... jednak nic nie zapowiada zatargu.

— Dla nas, żołnierzy, najlepszą rękojmią jest raport pułkownika Mallet'a! Mości panowie!... Zawieszam wszelkie rozprawy... w przedmiocie, który nas tu zebrał raczej jedynie dla tego, aby raz jeszcze przekonać się, jak prawego obrońcę ma ta ziemia w imć panu generale, Henryku Dąbrowskim!... Jak dalece niebezpiecznem jest jego nie słuchać wskazań! Mości panowie, za obowiązek poczytuję sobie rękę doń wyciągnąć i prosić, aby w obliczu grożącego ojczyźnie niebezpieczeństwa darował wyświadczoną mu może krzywdę.

— Niech żyje Dąbrowski! — podchwycili z zapałem generałowie, stojący przy nim.

— Niech żyje! — mruknęli stronnicy Zajączka, czując, że tracą punk oparcia.

— Dziękuję ci mości książę! — odrzekł chłodno generał. — Takie krzywdy bolą, ale nie ranią. Chcę wierzyć, że to, co się stało, było wynikiem przypadku!... Zresztą są zarzuty, które Dąbrowskiego dosięgnąć nie mogą! Ale mości książę!... Patrz na tego obywatela, patrz, do czego go przywiodła serdeczna gorliwość! Jemu nagrodźcie!... jego proście o darowanie obelg!

Poniatowski w szlachetnym porywie, podszedł do stojącego na uboczu pana Tadeusza i położył mu rękę na ramieniu.

— Dłużnikiem twoim jestem!.. Mości Skrzynecki, zajmij się imć panem Zabielskim!... Chciałbym z nim dzisiaj jeszcze się rozmówić.

— Hola! Mości książę — wmieszał się Dąbrowski — Zabielskiego od siebie ci nie pozwolę zabrać!

— Dziś, generale, dziś!

— Tylko dziś!

Skrzynecki wyprowadził pana Tadeusza z sali.

Książę Józef zaś ogłosił radę za nieustającą — poczem, w krótkich wyrazach przedstawiwszy grożące niebezpieczeństwo, w te słowa się odezwał:

— Mości panowie! Wojna chwyta nas nie tylko nieprzygotowanych, ale i odciętych od króla jegomości, od cesarza!... Los pozostawia nas w tak doniosłej chwili samym sobie, naszym własnym siłom i środkom! Ufam, że godnie odpowiemy na wyzwanie, ufam, że z mężnem sercem podniesiemy zamianę rękawicy, ufam, że potrafimy bronić tej garstki ziemi, co nam na wolne władanie wydzieloną została!.. i nie cofniemy się ani przed żadną ofiarą i nie ulękniemy najsroższej rozprawy! Jedno tylko niebezpieczeństwo znów nad naszymi głowami, jedna klęska mogłaby nas złamać, jedna zburzyć najhartowniejsze czyny i zamysły, a klęską tą jest niezgoda myśli, nakazów, postanowień!... Mości panowie, suponować śmiem, że gdyby czas był po temu, zarówno król jegomość, jako i najjaśniejszy cesarz wraz z rozkazem o wystąpienie w pole, daliby nam wodza, któremuby podlegali wszyscy!... Otóż to żywię mniemanie, że zanim z Drezna czy Paryża dojdzie nas postanowienie, w tak stanowczej chwili sami powinniśmy między sobą wybrać!... Podobało się cesarzowi powołać mnie na ministra i dowódcę dywizji, przyjąłem te stanowiska, dzieląc władzę z równoznacznymi generałami Dąbrowskim i Zajączkiem! Dziś uznaję potrzebę naczelnego dowództwa, któremuby i moja teka podlegała!.. Dowodztwo chciałbym mieć ustanowionem dobrą wolą was mośćpanów! Rada stanu niech je raczej uzna tylko, jego ekscelencja pan gubernator niech je przyjmie jako zarządzenie w obliczu niebezpieczeństwa—wybór atoli niech będzie udziałem tych, co w naczelnym dowódcy ostatnią mieć mają instancję!...

Poniatowski zatrzymał się, powiódł oczyma po twarzach zebranych i rzekł z mocą:

— Mości panowie! Na naczelnego wodza wojsk Księstwa Warszawskiego przedstawiam wam tego, którego uznaję za najgodniejszego... jest nim .. generał dywizji, wojewoda Henryk Dąbrowski!... Oficer doświadczony, twórca legionów, od roku dziewięćdziesiątego drugiego nie ustający w swych serdecznych dla ojczyzny służbach, kochany przez żołnierzy, wielbiony przez lud!... Mości panowie! Jego pieśń niech nas wiedzie!... Za nim, za Dąbrowskim!!

— Za nim! — Za Dąbrowskim! — Na śmierć!! — huknęli członkowie rady i jęli się do Dąbrowskiego cisnąć, a za ręce ściskać. Nawet Zajączek nie mogąc się oprzeć porywowi, — podsunął się do Dąbrowskiego i jął bełkotać słowa uznania. Zapał wzrastał, potężniał.

— Prowadź nas! Wiedź! Za twoim przewodem chcemy iść!! — Ty dokończysz coś rozpoczął!!!

Oblicza gorzały, z ócz szły skry jasne, czyste i rozchmurzały twarze i grzały serca.

Pod drzwiami sali obrad w pierwszym szeregu plutonu, na prawem skrzydle stał stary sierżant Klimkiewicz, stał z karabinem u nogi. Gdy książę wymówił nazwisko Dąbrowskiego, sierżant drgnął, gdy wspomniał o jego zasługach, karabin zadygotał w ręku Klimkiewicza, a kiedy sala zabrzmiała okrzykami, sierżant pochylił się, złamał szereg i jęknął.

Kapitan Osipowski, który znów dziwnie marszczył się, postrzegł uchybienie i, korzystając z roz gwaru napominał surowo:

— Klimkiewicz!...

— Jes... jes... tem panie kapitanie!...

— W miejsce do czarta!... Oszalałeś?!...

Sierżant kiwnął się mocniej.

— Cztery dni aresztu! — burczał Osipowski.

— Tydzień panie kapitanie! — szepnął sierżant. — Ale... toć... on nasz!... Nasz generał!!...

Dąbrowski mienił się kolorami, w milczeniu przyjmował uściski, a kiedy w końcu Poniatowski powołał go, aby zajął pierwsze miejsce i jako wódz naradom przewodniczył—generała oczy rozbłyszczyły się.

— Pozwólcie mości panowie! — rzekł drżącym głosem. — Pozwólcie odpowiedzieć!... Ta chwila to mgnienie, którego daliście mi zaznać, jest mi najdroższą nagrodą, jest mi najmilszą!... Zapłaconym sowicie po koniec życia!... Za serce, za gotowość, za szlachetne zaparcie dziękuję wam panowie!!...

— Niech żyje Dąbrowski!! Niech żyje wódz naczelny!!

Dąbrowski wyprostował się, orlim spojrzeniem obrzucił salę i zaczął nagle głosem stanowczym, mę-

skim, pełnym, który zdawał się wskroś przenikać każdego.

— Ja honoru ofiarowanego mi wspaniałomyślnie, przyjąć nie mogę. To nie skromność, nie obawa przed ciężkim brzemieniem, nie udanie do tego mnie obowiązuje, lecz najświętsze uczucia miłości ziemi tej. Jam nie rwał się do niej, aby się w niej panoszyć, jam nie władzy sobie chciał dobywać, jam nie pragnął dla niej nowych panów, jam dążył do tego, by pasmo jej żywota nie rwało się, by historja nie miała ciemni, pustki i by o tej pustce nie mówiono, że jest cale nowa, że nie jest gałęzią z pnia stuleci wyrosłą, lecz daleko i samotrzeć wyrosłą sadzonką. Zanim legiony zebrałem, już chodziłem pod dowództwem tu przytomnego księcia Józefa!... I w tym właśnie dziewięćdziesiątym drugim roku odebrałem najpiękniejszą naukę cnoty i w tym roku właśnie patrzyłem, jak wódz swemu królewskiemu stryjowi stawił czoło i strofował go!

Mości panowie, wodzem naszym musi być nie tylko generał, ale i ten, imię którego byłoby ciągiem naszych dziejów, któreby samo przez się mówiło do ludu, do Europy!... Jeżeli kto tu ma pierwszy prawo bronić, czy budować, to ten, do czyjego imienia przywiązany został upadek! A ten nadewszystko, co tylekroć razy broń w najświętszej sprawie podnosił! On nam wodzem! On! Krew nasza, krew królewska!

Zebrani ze zdumieniem przyjęli słowa Dąbrowskiego, lecz ten nie dał nikomu ochłonąć z wrażenia — odwrócił się do warty i zakomenderował gwałtownie: „baczność — prezentuj broń“! — a kiedy ostrza bagnetów błysnęły i najeżyły się, ozwał się donośnie:

— Kapitanie Osipowski!

— Słucham, generale!

— To sobie zapamiętaj, że gdyby kiedykolwiek jego książęca mość, wódz naczelny, kazał ci mnie, Dąbrowskiego rozstrzelać, uczynisz to bez wahania!... On tu naszym wodzem! Każde słowo jego jest ostatniem!

— Według rozkazu, generale.

— Te słowa powtarzać będziesz codzień przy apelu, aby, „saperlotte“, twoi drągale z dzisiejszej warty naukę wzięli.

— Według rozkazu.

— Baczność! — komenderował dalej Dąbrowski. — W prawo, w tył! Odmień front! na ramię broń!... Marsz!... Do.. koszar!

Warta idąc za głosem generała, zwarła się, zakręciła i miarowym krokiem wyszła z sali.

Przez chwilę, wśród milczenia głębokiego, słychać było jeszcze chrzęst, stąpanie oddalającego się oddziału i surowe pomrukiwanie Osipowskiego, znane w całym wojsku.

— Jeden z drugim!... Znacz krok!!.. Znacz krok!...

Aż naraz do Dąbrowskiego zbliżył się Pelletier i schwycił go oburącz za rękę.

— Generale!... Ceniłem w tobie wielkiego żołnierza, od dziś wielbię obywatela!...

— Gdzie tacy się rodzą, tam naród nie zginie!— wołał z zapałem Przebendowski.

— Niech żyje Dąbrowski!..

Książę zbliżył się z kolei do generała — był wzruszony do głębi, z czoła jego zniknęła duma, twarz jaśniała szczerością.

— Nie tylko cię szanować trzeba generale, ale i kochać! Ale... nie ustępuj... widzisz wszyscy są z tobą.

— Nigdy mości książe!.. Rzekłem! Mości panowie. — Niech żyje książe Józef Poniatowski, wódz naczelny!!..

— Niech żyje!! — odpowiedziano chórem.

— Mości książę — rozkazuj, decyduj!.. Chwili czasu nie ma do stracenia!.. Nie wahaj się, bo jako mnie żywym widzisz... tak mówiłem z serca i z głębokiego przekonania!..

— Rozkazuj mości książe!.. Czas!... — przytwierdzili członkowie rady, skupiając się, garnąc dookoła Poniatowskiego.

— Dobrze, mości panowie! Przyjmuję! — rzekł książę Józef. — Jeden tylko stawiam warunek, że generał Dąbrowski nietylko radą będzie mi służył, ale i swej przyjaźni nie odmówi!...

— Wiwat!!..

Poniatowski padł na szyję Dąbrowskiego.

— Z tobą generale na dobrą i złą dolę!..

— „Saperlote“!!.. Mości książę... z tobą i za tobą!!...

Wzruszenie wstrząsnęło przytomnymi. Hauke ledwie od łez mógł się wstrzymać, a gdy tylko Poniatowski puścił Dąbrowskiego — przypadł do ramienia tego ostatniego:

— Generale! Patrz, beczę!.. Beczę, żem ważył się ciebie sądzić!...

— Mości panowie! Na miejsca!! — zawołał donośnie Poniatowski, a spojrzawszy na stojącego na uboczu pana do Sonier, pospieszył zagadnąć.

— Czy wasza ekscelencja ma co do nadmienienia co do zapadłej tu uchwały.

Pan de Sonier, który był dopiero co skończył długą rozprawę z pułkownikiem Malletem — trzasnął swą tabakierką i rzekł nieco zdziwionym tonem:

— Ja!? Ja? Nic!.. Owszem!..

— A... odnośnie mających się przedsięwziąćzarządzeń! Czy nie byłby pan łaskaw objawić nam swoje zdanie?

— Ależ ja? — odezwał się pomięszanym głosem pan de Sonier. — Ja nic nie wiem, doprawdy... Ta wojna! Pan Maret nic a nic mi nie wspomniał. Panowie sami... ja... muszę wyjechać!... Ja dziś jeszcze jadę do Berlina... a stamtąd do Paryża!... Ja tu nic nie mogę.

Poniatowski uśmiechnął się ironicznie.

— Wybacz, ekscelencjo! Sądziłem, że na wypadek wojny, masz jakie polecenia sekretne bądź ze dworu, bądz od Marszałka Davoust'a.

— Tak! To jest właściwie... nic nie rozumiem. Ale naturalnie, lada chwila kuryer nadejdzie... Pan Maret nieomieszka... minister Berthier!.. Książę d'Auerstaed także... nie ulega wątpliwości... lecz ja muszę... zaraz! Panowie co innego, ja nie mogę!

— Lecz ekscelencjo, nie odmawiaj nam swej obecności, choćby w tej chwili... Rada stanu zbierze się pewno także!

— Rozumiem! Tak, rada stanu... Ale to już najlepiej raport... wprost... a ja żałuję bardzo, lecz muszę w tej chwili jechać! Niespodzianka taka!... Czy jednak mogę być pewnym eskorty?

— Ach!... Bezwątpienia!... Szwadron ułanów odprowadzi pana do granicy.

— Szwadron!.. Jeden szwadron, czy będzie dostatecznym?

— Racz pamiętać ekscelencjo, że mamy ich dwadzieścia cztery do obrony całego kraju.

Pan de Sonier zagryzł wargi, bąknął parę słów o tem, że mu jest niezmiernie przykro tak raptownie wyjeżdżać, że nieomieszka zawiadomić o tym zapale, z jakim księstwo będzie się broniło, parę razy wymienił jeszcze nazwisko pana Mareta, ministra Berthier'a, marszałka Davoust'a i uścisnąwszy rękę księcia, skłonił się zebranym i wyszedł.

To oddalenie się nagłe pana de Sonier, przykre sprawiło wrażenie. Oczywistą było rzeczą, że znaczyło ono albo pozostawienie księstwa własnym jego siłom i środkom, albo niemożności przyjścia mu z pomocą.

Członkowie rady, z uwagi na obecność Pelletiera, milczeniem pożegnali pana de Sonier, wstrzymując się od uwag. Pelletier atoli zrozumiał intencję milczenia, a sam zbyt gorący, zbyt szczery żołnierz, aby mu wyrafinowana dyplomacja gubernatora miłą być mogła—wstał z miejsca i odezwał się krótko do księcia Poniatowskiego:

— Teraz możemy przystąpić do obrad, bo nikt nam przeszkadzać nie będzie.

Poniatowski zabrał głos — obrady się zaczęły. Rozkazy jeden po drugim zapadały, powtarzane przez adjutantów dosięgały utworzonej na prędce kancelarji i stamtąd opatrzone w podpisy i pieczęcie dochodziły stojących w pogotowiu ordynansów.

Z podwórca zamkowego raz po raz wyrywał się ułan służbowy, spinał konia ostrogami, pochylał się na kulbace i rwał pełnym galopem, rwał do miast i miasteczek, odległych osad i wsi, a wraz z nim pędziła groźna wieść—„wojna!“

Rada stanu zaalarmowana raportem księcia, zebrała się jeszcze tej samej nocy, przedsiębiorąc cały szereg zarządzeń a układając pełną zapału odezwę do ludu.

Gdy się to działo, pan Tadeusz siedział z adjutantem Skrzyneckim, wyczekując na widzenie się z księciem, które mu ten ostatni był zapowiedział. Adjutant starał się rozerwać Zabielskiego, silił się na grzeczności a współczuł niby to głęboko jego doli —lecz pan Tadeusz ozięble przyjmował wzruszenia Skrzyneckiego i zbywał go lakonicznym uwagami. Adjutant czuł się dotkniętym tym jego zachowaniem.

— Waćpan widzę, żywisz do mnie urazę!... Niesłusznie!... Czasy takie, że dobrego od zła nie odróżnisz!...

— Mylisz sią mości poruczniku!—odrzekł sucho pan Tadeusz.—Jeno mi nie do rozmowy w tej chwili!... A nawet nie rozumiem tego zaszczytu, który mi jego książęca mość chce okazać!... Noc późna!... A ja do księcia pana nie mam nic!...

— Uzbròj się waszmość w cierpliwość!... Słyszałeś sam, książę życzył sobie widzieć się z tobą!...

— Cenię wielce ten honor, ale mi teraz nic do niego!—oburknął się pan Tadeusz, w którym rogata dusza szlachecka brać zaczęła przewagę.—Nasłuchałem się już dosyć na tej radzie!...

— Otóż właśnie!... Słyszałeś, książę ubolewał nad tym co się stało!...

— Zbyteczna fatyga!...

— A przytym kto wie, co zamyśla dla waszmości!...

— Nie ciekawym wiedzieć! Od nikogo nic nie potrzebuję—a krzywdy wyrządzonej nikt mi tu nie powróci!!...

— Mości Zabielski—zauważył urażony tym lekceważeniem Skrzynecki—nie poddawaj się alternacji! Pamiętaj, że inni miesiącami zabiegają o to, przed czem ty zdajesz się bronić! Toć książę!... Jako ci dobrze życzę, panie Tadeuszu, jako sam winnym się czuję, żem przczuciu dobremu nie dał wiary, a za tobą się nie ujął—tak przed waćpanem przyszłość stoi otworem, słowo rzeknij, a książę uczyni dla ciebie wszystko, co zechcesz. To jedno, że posądzeniem wyrządził ci krzywdę, zniewoli go do wszystkiego. Nie opuszczaj sposobności, okazja taka druga się nie trafi... Pamiętaj!

Zabielski zęby zaciął.

— Powtarzam waszmości, mnie nic po tem! — odrzekł hardo.—Mnie tu żadne promocje nie nęcą! Niczego nie potrzebuję, niczego zawdzięczać nie chcę. A zresztą tego wystawania w antykamerze mam dosyć. Z supliką nie przybyłem—odchodzę!

Skrzynecki nie wiedział co począć.

— Nie róbże mi tego waszmość, proszę cię jak o łaskę, zaklinam!.. Zaufaj mojej przyjaźni!

— Bóg zapłać! Wiem, jak daleko pójdzie... dość by tu było jednego przechery, aby na mnie palcem wskazał, byś mnie asan za sprzedawczyka miał. Racz więc mości adjutancie powiedzieć jego książęcej mości, że pokornie dziękuję za jego łaskawość, ale mi w tej chwili pilniej do spoczynku było niż do zaszczytów.

Adjutant zastąpił drogę Zabielskiemu.

— Choćbyś mnie zarąbał, nie puszczę!

— Ustąp waszmość!

— Nie—za nic!... Nie dam ci tak odejść!

— Więc chcesz mnie siłą zatrzymać?!

— Choćby!

Pan Tadeusz zbladł i mierzył lekceważycym wzrokiem Skrzyneackiego. Lada chwila miały paść ostre słowa. Gdy wtem niespodziewanie do pokoju wpadł Szczaniecki, a postrzegłszy wzburzenie pana Tadeusza, zagadnął pośpiesznie.

— Co się tu stało? Czego się boczysz? Mości Skrzynecki!

Adjutant księcia Józefa wyjaśnił mu przyczynę sporu. Szczaniecki zmarszczył się.

— Tam do licha—niech mnie kule biją, jeżeli Zabielski nie ma racji... A jemu co? Na służbę tu przyszedł, czy co?... Chce iść i koniec.

— Ależ zważ mości Szczaniecki, książę sobie życzył!

— No, a jemu się to wyczekiwanie naprzykrzyło. Chodź, idziemy razem! Generał rusza w tej chwili na noc z Warszawy.

— Mości Szczaniecki nie róbże mi tego. Na mnie odpowiedzialność spadnie!

— Więc tam do licha, miast się tu targować, idź wasze do księcia i powiedz mu, że Zabielski odchodzi. Dosyć się tu nasłuchał, czas mu tam do licha spocząć odrobinę. A może jeszcze wam mało dowodów? Tam... do licha, do generała idę!

Skrzynecki zafrasował się, a po krótkim wahaniu poszedł do sali obrad. Upłynęła długa chwil. Zabielski znów wpadł w gorączkowe zniecierpliwienie.

— Idźmy stąd! Co mnie do niego! Ja znać ich nie chcę!... Już sobą nie władnę! Prowadź mnie stąd! Niech się raz to skończy!

Szczaniecki ujął łagodnie pana Tadeusza za rękę.

— Spokoju, zimnej krwi więcej. Chce z tobą mówić—cóż—przecież w gruncie on sam poszedł tylko za innymi, jeżeli kto tu zawinił, to ten przechera Rudzki—ten już siedzi w prochowni! Wyprawili go już tam. Będzie mu ciepło, już go tam rozgrzeją! Tymczasem zaczekajmy na powrót Skrzyneckiego. Ciebie to do niczego nie obowiązuje. Odpowiesz mu tak, jak będziesz chciał... Za złe księciu brać nie możesz, że chciałby może przyjść ci z pomocą. Tam grunt zawsze był dobry, serce wielkie, a żeby nie ci dowódcy, żeby nie te kompanje doradców, zauszników, a hulaków, może nie byłoby nad niego wodza, może byłby oddawna kimś więcej, niż ministrem króla saskiego.

— Nie neguję—ale mnie nic do tego!... Do łaski się nie napraszam!

— Tam do licha! A cóż, rejterować chcesz?... Tfy!... A tobie co? powiedz mu właśnie, niech wie, że onej rozmowy za zaszczyt sobie nie masz!... Ot i jest rada! Okoniem stawaj, ale, tam do licha, prostakiem nie jesteś, obligował cię, więc mu strzymaj!

Pan Tadeusz chciał się upierać, gdy zaraz we drzwiach stanął Poniatowski. Szczaniecki usunął się z uszanowaniem na stronę. Książę pozdrowił przyjaźnie Zabielskiego i zagadnął.

— Waszmości pilno? Słyszę, uciekać chcesz?

— Tak—bąknął Zabielski.

— Strzymywać cię nie śmiem! Jeślim na rozmowę cię przyzywał, to jedynie dla tego, aby ci raz jeszcze podziękować za poczciwą ochotę, a upewnić, że szczerze pragnąłbym nagrodzić ci to, co cię spotkało. Właśnie generał Dąbrowski powiadał mi jeszcze o tobie... Powracać ci do dom teraz nie podobna! Owóż tymczasem, póki o stosownej promocji nie będzie można pomyśleć, weź urzędowanie u imć pana Rembielińskiego w prefekturze departamentu płockiego. Tam spokojnie przeczekasz zawieruchę i do dom powrócisz!

D. c. d.

Pogadanki naukowe.

I.

SŁOWIANIE.

Charakter, obyczaje, urządzenia społeczne.

Kiedy Słowianie przybyli z Azji do Europy, o tem nikt na pewno nie wie, to jednak wiadomo, że w czasach już bardza dawnych zamieszkali szerokie przestrzenie ziemi za Dunajem, że należą do szczepu indo-europejskiego, że jeszcze w czasach przedhistorycznych znajdowali się już w Europie i rozpostarli się w niej od morza Baltyckiego do Czarnego i Adrjatyku, od Elby do Wołgi; że dzielili się na liczne plemiona, które tworzyły jakby jedną wielką rodzinę, łączyły je bowiem jedne obyczaje, jedno urządzenie, jeden charakter, tylko od dawien dawna różniły się te plemiona między sobą mową, a różnice zachodzące w językach stawały się coraz wyraźniejsze; później i obyczaje przyjęli różne, i charakterem jedni do drugich już nie byli podobni, i religję i urządzenia nie wszędzie mieli jednakowe. Różne okoliczności były tego przyczyną: wpływ sąsiednich obcych ludów, koleje losu, jakie przechodzili.

Dawni Słowianie byli charakteru łagodnego, kochali życie ciche, pracę domową, byli bardzo pobożni. Napadnięci, bronili się odważnie; rośli, krzepcy, mieli ciało zdrowe, zahartowane prostem życiem, jakie wiedli, i trudami łowiectwa, jakiemu się oddawali; siłę też mieli wielką: złamać podkowę, rozerwać powróz— przychodziło im z taką łatwością, jakby gałązkę łamali, lub zrywali nitkę. W walce niełatwo odstępowali, używali do obrony dzidy, miecza, oszczepu i łuku ze strzałami, jadem zaprawionymi; zbroi nie znali, zasłaniali się tylko tarczą; gdy szli na nieprzyjaciela, to najczęściej odzieży prawie nie brali na siebie. W razie niebezpieczeństwa kryli się pod wodę, a umieli bardzo długo utrzymać się pod nią za pomocą trzcin, przez których końce, ponad powierzchnię wody wystawione, wciągali powietrze dla oddychania. Jeśli w blizkości wody nie było, lecz lasy, wówczas w razie niebezpieczeństwa kryli się w nich, pociągając za sobą nieprzyjaciela w miejsca najniedostępniejsze, ciasne, gąszczami zarosłe, w jakich najlepiej walczyć lubili. Porządku w boju Słowianie nie znali, niechętnie potykali się w otwartych miejscach i walki rozpoczynać nie lubili., — woleli niespodzianie wypadać z zasadzek; jeśli zaś wypadło im wstępnym bojem na nieprzyjaciela uderzyć, wówczas postępowali zwolna naprzód, krzycząc głośno, i dopiero nacierali na nieprzyjaciela, gdy ten na ich krzyk krzykiem odpowiedział; jeśli zaś nie uczynił tego, wracali do lasu i czekali zaczepki. Gdy zwyciężyli, nie mścili się na nieprzyjacielu, bo zemsta w ich sercach rzadko kiedy gościła; jeńców pobranych do niewoli, trzymali do czasu w służbie, obchodzili się z nimi dobrze, a gdy im złożyli pewien okup, pozwalali powracać do domu, lub osiąść wśród Słowian. Nieraz niewolnik tak się przywiązał do swego pana, do rodziny i do ziemi jego, iż ciężko mu było z nimi się rozstawać. Wówczas Słowianie dawali mu posiadłość — boć ziemi w te czasy nie brakło, całe jej obszary niezaludnione, do nikogo nie należały— i niewolnik obcym przestawał być dla nich, uważali go za brata. Jeśli dla obcych umieli być ludzkimi, tem więcej dla swoich: starych i chorych otaczali opieką, biednym nie odmawiali wsparcia, a że kradzież była u Słowian nieznana, więc domy ich stały zawsze otwarte, aby podróżny dniem i nocą wstąpić mógł do nich i spocząć. U zamożniejszych stoły były zawsze jadłem zastawione: miód, kołacze, pieczone mięso, ceber świeżej wody czekały głodnych i pragnących — ława strudzonych: gościnność była bowiem jednym z najpiękniejszych przymiotów Słowian. Wolny czas od pracy chętnie oddawali zabawom, lubili życie towarzyskie, tańce, gonitwy, pieśni, dźwięki gęśli, chętnie gości podejmowali u siebie i hojnie ich przyjmowali, zbytków nie znali wszakże. Jak proste były ich serca, tak proste obyczaje: pili z rogów bawolich, jedli z mis glinianych, z domowej przędzy tkali płótno na ubranie, mieszkali w lichych chatach, najczęściej po lasach i trzęsawiskach rozrzuconych, w które obcy bez przewodnika nie ważył się zapuszczać. Lasy te i błota broniły Słowian od napaści wroga. Najzaciętszym ich nieprzyjacielem byli Niemcy, którzy siedzieli na granicy zachodniej, czyhali na Słowian, ustawicznie na nich napadali, podbijali drobniejsze ludy, wytępiali lub wynaradawiali; to też chaty Słowian miały zawsze kilka wnijść, aby w razie napadu łatwiej uchodzić mogli.

Słowianie dawniejsi zajmowali się rolnictwem, pszczelnictwem, rybołóstwem i myśliwstwem. Życie ich domowe przedstawiało obraz czysto patryarchalny; ojciec był głową domu, był królem w rodzinie, królem dobrym, łagodnym, którego dzieci czciły jak świętość; niewiasty tak kochały mężów, iż często, gdy zwłoki męża palono, szły dobrowolnie na stos i ginęły w płomieniach. Rodzeństwo łączył serdeczny stosunek, brat dla brata gotów był życie oddać, a każdy wiedział, iż na pomoc rodzeństwa w razie nieszczęścia napewno liczyć może. Ojciec rodziny zwał się starostą lub władyką; miał on władzę zupełną nad dziećmi, był on panem ich życia i mienia, był ich sędzią najwyższym. Mieli liczne i piękne przymioty Słowianie, lecz jak niema człowieka bez grzechu, tak i oni mieli wady, które ich gubiły: rody, plemiona, prowadziły często z sobą waśnie, nie łączyli się Słowianie, lecz rozdzielali na drobne państewka, stąd obcy łatwo ich pokonywali, stąd tyle plemion pod niemieckie jarzmo się dostało.

Rząd u Słowian był patryarchalny, na obraz rodziny utworzony: na czele plemienia, które kilkadziesiąt rodów tworzyło, stał naczelnik, wybrany z pomiędzy ojców; ten prócz dowództwa na wojnie, miał godzić spory, sądzić winy, nagradzać cnoty, karać występki — jednym słowem, miał te prawa i obowiązki, co każdy ojciec w rodzinie. Naczelnicy plemion nosili różne nazwy; południowe plemiona zwały ich żupanami, baszami, inne kneziami. Jeśli w rodzinie umarł ojciec, natenczas starszy brat zostawał starostą, pilnował spraw rodziny, dzielił pracę wśród swoich, żywność, odzież; sądził i wydawał wyroki, a bracia słuchać go musieli; lecz gdy nadużywał władzy, krzywdził rodzeństwo, wówczas młodsi bracia zwoływali sąd i albo zmuszali go do zmiany postępowania, albo władzę mu odejmowali i obierali jednego z pomiędzy siebie na jego miejsce. Jeśli umarł kneź, wówczas starostowie zwoływali wiec, narodowe zebranie, i nowego naczelnika z pomiędzy siebie wybierali, a często synowi zmarłego oddawali tę godność, jeśli ojciec postępowaniem swoim pozyskał ich miłość i szacunek.

Z czasem rząd patryarchalny przybrał u Słowian charakter rządu monarchicznego. Kneziowie plemion zachodnich, zapatrując się na sąsiadów Niemców, z którymi mieli ustawiczne stosunki, poczęli rządzić jak władcy udzielni: otaczać się urzędnikami i rycerstwem; ziemię, którą się opiekowali, uważali za swoją własność; kmiecie, dawni właściciele ziemscy, stali się ich dzierżawcami; tym, co się odznaczyli w usługach im oddawanych, rozdawali obszary, niezamieszkałe wszakże przez nikogo; — tym sposobem wytworzyły się stany; urzędników, rycerzy czyli właścicieli ziemskich, i kmieci czyli dzierżawców. Tak powstały: na zachodzie w wieku IX państwa: Morawskie z miastem Welegrodem, Czeskie u źródeł Elby w objętej czterema pasami gór kotlinie, z pięknym miastem Pragą; w wieku X państwo Polskie. Te brały cywilizację z zachodu. Na wschodzie powstało potężne państwo Ruskie, którego stolicą był Kijow, a z czasem stała się Moskwa; na południu Serbskie i Bulgarskie. Te trzy*) urządziły się na wzór państwa wschodniego Greckiego i stamtąd cywilizację czerpały.

*) Ruskie, Serbskie, Bugarskie.

D. c. n.

Rozmaitości.

JEZIORO OGNISTE.

W sąsiedztwie miasteczka Nassau na wyspie Opatrzności, należącej do archipelagu Bahamskiego, w Ameryce, znajduje się małe, niepozorne jeziorko, mające zaledwie około jednej osmej kilometra kw. powierzchni, a połączone z morzem kanałem, mającym 500 metrów długości. Jezioro to zakrywa od brzegu wysoka trawa, właściwa krajom podzwrotnikowym, a właściciel prywatny otoczył je kratą. W ciągu dnia nikt się o to jezioro nie troszczy skoro jednak tylko nadejdzie zmierzch, przybywa z miasta i okolicy mnóstwo osób piechotą i powozami, ażeby za opłatą 2 szylingów dostać się za kratę i podziwiać wspaniałe, a zarazem niezwykłe zjawisko przyrody. Ile razy bowiem woda się poruszy, powstaje interesujące zjawisko jakby świecenie morza; każda kropla wody, spadając, świeci mocno kolorem srebra. Znajduje się zaraz i pomysłowy murzyn, który, wskakując do wody i w niej się poruszając, potęguje to wrażenie świetlne, które tak jest mocne, iż w pobliżu można odczytać godzinę na zegarku. To samo zjawisko świetlne sprawiają także ryby, wyskakując z wody dla pochwycenia owadow. To piekne świecenie poruszającej się wody trwa cały rok, z wyjątkiem, jeżeli deszcz pada, bo wtedy ustaje na kilka dni. Przyczyna tego zjawiska jest mikroskopowa roślinka „Pyrodinium bahamense“, która w wodzie jeziora, o którym mowa znajduje się w ogromnej liczbie. To świecenie łączy się z pewnym stopniem słoności wody i dlatego ustaje po deszczu, powraca zaś gdy przez wyparowaniu nadmiaru słoność dojdzie znowu do potrzebnego stopnia.

FOTOGRAFJA MASZYNOWA?

Przyrząd mechaniczny, ten zacięty wróg wszelkiego dzieła odręcznego, zastąpił już rękę człowieka we wszystkich niemal dziedzinach. Ale któżby się spodziewał, że sztuka tak delikatna i subtelna, jak fotografja, także ustąpi poniekąd geniuszowi ludzkiemu, zaklętemu w maszynę. Ciemnia optyczna, to sanktuarjum sztuki fotograficznej, ustępuje miejsca maszynom i przyznać należy, że te ręce ze stali i żelaza pracują sprawniej i delikatniej niż ludzkie.

Wynaleziony w r. 1838 stereoskop, który za pomocą dwóch identycznych fotografji wywołuje wrażenie wypukłości, znalazł w Ameryce niezwykle rozległe zastosowanie. W swej ulepszonej; a przedewszystkim uproszczonej formie ostatniej, tak zwany stereoskop soczewkowy, jest przedmiotem codziennego użytku zarówno w szkole początkowej i bibljotece publicznej, jak w przemyśle. Agenci handlowi wielkich magazynów meblowych posiłkują się nim chętnie dla zaprodukowania w tej formie całych urządzeń, zamiast suchych albumów fotograficznych. Dla zwerbowania sobie turystów, przedsiębiorstwa kolejowe i hotele zaopatrują swych wysłańców w całe komplety stereografów, które uwypuklają najpiękniejsze widoki natury zarówno jak hotele i restauracje reklamowanej przez nich miejscowości.

Ażeby obraz otrzymany w stereoskopie, był dokładny i wypukły, muszą obie fotografje w nim umieszczone posiadać absolutnie indentyczny „ton“. Manipulacje ręczne z trudnością odpowiadają temu zadaniu. Wiadomo powszechnie, że każda sekunda w wystawieniu na światło już zmienia wartość „tonu“, zwłaszcza jeżeli idzie o odtwarzanie z jednego negatywu tysiąca egzemplarzy. Wszystkie te trudności usuwają dwie nowo wynalezione maszyny, używane dotychczas wyłącznie przez największe w świecie fabryki „Whita“ w Vermont w Ameryce północnej. Przy świetle lampy neutralnej Cooper-Hewit odbywa się manipulacja, polegająca na tym, że maszyna automatycznie i miarowo obcina arkusze papieru czułego i przykłada je do negatywu kliszy. Ekran, ktory się mechanicznie otwiera i zamyka, przepuszcza promienie na właściwy papier. Wyświetlanie, mycie i osuszanie jest zadaniem drugiej maszyny, która w przeciągu 10 godzin jest w możności wykończyć 250.000 fotografji. Osuszanie np. odbywa się w ten sposòb, rozpostarte na wielkim pasie odbitki przeprowadzone są nad systemem rur rozgrzanych, a niezmienna szybkość zapewnia dokładność i jednolitość wyników.

Ta sama fabryka posiada oddział optyczny, w którym wyrabia stereoskopy, t. j. przyrządy, dla których powyższe fotografje są przeznaczone. W celu pozyskania jaknajwiększego zbytu dla swego wyrobu, zakłady White'a rozsyłają po całym świecie fotografów, którzy rabią zdjęcia wszystkich ważniejszych wydarzeń bieżących i przywożą do fabryki kliszę do wykończenia tysięcy fotografji. Jak wielkie obroty robią fabryki White'a, sądzić można z tego, że główniejsi agenci fotografowie których jest 10-iu, zarabiają około 50.000 franków rocznie.

POJEDYNEK KOBIET.

W Chicago przed kilku dniami miało miejsce sensacyjne zdarzenie: dwie bratowe panie Silvers i Tripp, będąc o siebie wzajemnie szalenie zazdrosne, postanowiły się pojedynkować. Wybrano rewolwery—i obie przeciwniczki stanęły naprzeciw siebie w domu p. Silvers, która uprzednio powydalała przezornie wszystkich z mieszkania i starannie pozamykała drzwi. Walka była zazarta i trwała dopóty, dopóki pani Tripp, trafiona 15 kulami, nie padła bez życia. Pani Silvers sama sobie później odebrała życie.

Jak walka dwóch pań tych była zacięta, świadczyły ślady jej, jakie dostrzeżono po otwarciu mieszkania. Meble były porozrzucane, lustro potłuczone. Na posadzce walały się kępki powyrywanych włosów i widniały kałuże krwi.

JULJUSZ SŁOWACKI.

JAN BIELECKI.

Powieść oparta na podaniu historycznym.

(ciąg dalszy).

„Nasz dumny Stefan do czegóż on zmierza?
Śmiałżeby władać, jak niemiecki książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże.
Ja się usunę!—Niech mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!—

„Hej! Szlachta! Znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie!
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu padające ściany,
I tak spokojny między nimi żyje,
I tak szczęśliwy—że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda,
Jękiem i dymem, iskrami płomieni—!
Bracia, noc widna!—niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni.
Nim wróci, Niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zburzę, spalę, grunt domu zaorzę!“

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem,
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany;
Jak się wahały brylantowe kity,
I oko ćmiły różnobarwne krasy!
Blask chyba równy gdy w przedpotowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
Gdy się zmieszają wszystkie barwy borów,
Liście i kwiaty płyną jak potoki;
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta—już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej na pola, przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi.
Już pojechali— —niech ich Bóg prowadzi.

II.

WESELE.

W Brzeżan miasteczku, w kościele u fary
Jaśnieje ołtarz—potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary.
Po ławkach jasne migają żupany:
Tam pożółkniały ksiąg pergamin stary,
A ówdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty —
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartym czołem, Jan Bielecki zbrojno
W huzarskiej zbroi, w misiurce ze stali.
Jakby do bitwy stanął do ołtarza.
Patrzy na młodą a wzrok mu się pali.
Przy męzkiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubej w miłym dany upominku,
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku.
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem.
A dalej! swaty za młodym rycerzem —
A dalej! bracia husary, pancerni —
A dalej! służba w wielkim stoi koło,
Zbroją od prostej odróżniona czerni!
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem,
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwiabu lazurze,
Lśnił się herb: srebrne księżyca pólkole —
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusim piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie:
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie,
O, jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona,
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dla czego smutna?—Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora krysztale;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilija wodna może przeczuć burze,
Kwiat czuje—ona—miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrali grajki, grzmią liczne wystrzały,
I pochodniami świecili kozaki.—
Noc księżycowa widna jak dzień biały.
„Stójcie!“ zawołał pierwszy swat, „przedemną
Nie widzę domu. –Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? Ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę—oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa“.—
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi.
Patrzą, nie wierzą.—Sam Jan staje, słucha,
Blednieje—nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha!

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady. —
„Anno!“ rzekł, „Anno! wracaj! — Nie mam domu
Nie wrócę z tobą—obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu,
Już mnie domowe szczęście nie omami!
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa —
W twoim objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!—“ zadrżał i spiął konia
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Ciąg dalszy nastąpi.

NA CO ZEGAREK.

— Matulu, kupcie mi zegarek.
— A na co ci to?
— Ażebym dokumentnie wiedziała, kiej mi się chce jeść i spać.

W SĄDZIE.

Sędzia: — Gdzie rozpoczęła się bijatyka?
Swiadek: — Na mojej głowie, prześwietny sędzio.